

Marolambo, dnia 22 czerwca 1983 r.

*Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Maryja Niepokalana!
Drodzy Przyjaciele Misji Oblackiej na Madagaskarze!*

W tej chwili w naszym kościele Mojżesz przeprowadza Naród Wybrany przez Morze Czerwone, ja zaś stwierdziłem, że jest zbyt duszno. Poza tym już widziałem kilka razy tę historię, więc wróciłem do swego pokoju, aby napisać do Was nowy list z misji. Wyświetlamy często filmy korzystając z zakupionych aparatów filmowych i filmów, przeważnie religijnych. Dla ludzi jest to wielka atrakcja i ilekroć się zapowie jakiś film, przychodzi bardzo dużo ludzi. Dzięki takiemu urządzeniu ludzie poznają Historię Świętą i potem łatwiej jest nam wyjaśniać Ewangelię. Nieraz przenosimy całą aparaturę łącznie z agregatem wytwarzającym prąd na odległość nawet 80 km i wtedy tamci ludzie naprawdę po raz pierwszy widzą prawdziwe kino. W takim wypadku dołączamy kilka komedii, aby ludzie też się trochę pobawili. Niestety, nie zawsze humor europejski jest zrozumiały dla Malgasy. Pamiętam, jak proszono mnie o zwolnienie tempa chodzenia ludzi za Panem Jezusem, gdyż oni tak szybko nie chodzą i nie mogli nadążyć oglądać poszczególnych obrazów. Problemem jest też język, gdyż mamy filmy w języku francuskim lub włoskim, a trzeba tłumaczyć na język malgaski. Robi to diecezjalny katecheta, który przez naszego Księdza Biskupa został skierowany do pracy w południowej części diecezji.

W Wielkim Poście odwiedziłem część północną swego sektora i po powrocie z Tamatawy wyruszyłem także na południe od Marolambo. Obchód daje wiele radości. Przyjąłem wiele młodzieży do katechumenatu, więc za dwa lub trzy lata wzrośnie liczba ochrzczonych. Na razie skrócony katechumenat mają tylko osoby, które skończyły 65 lat oraz niektóre małe dzieci. Bardzo przestrzega się zasady, że chrzczyć należy tylko te dzieci, których ojcem jest katolik. Podobnie odracza się Sakrament Chrztu Świętego, jeśli rodzice mogą, a nie chcą zawrzeć Sakramentu Małżeństwa. Nieraz to pomaga i rodzice mobilizują się prosząc nas o sprowadzenie metryk Chrztu Świętego do Sakramentu Małżeństwa, gdyż sami nie napiszą. Niestety, nie mogą się pochwalić, że ja ochrzciłem najstarszą osobę, która miała 83 lata. Kiedy wpisywałem jej nazwisko do rejestru Chrztów Świętych, przeczytałem w rubryce przeznaczonej na wpisanie wieku: „bardzo stary”. Pytam szczęśliwego współbrata, ile on ma lat? „Na pewno ma ponad osiemdziesiąt, ale może mieć nawet sto lat, tego nikt nie wie”. Trudno, musiałem się poddać.

Zdarza mi się też mieć uroczystość Pierwszej Komunii Świętej. Poza misją, podczas obchodu katolickich wspólnot ceremonia ma charakter bardzo prosty. Rzadko ujrzy się specjalny strój. Dopiero niedawno zaczęliśmy dawać małe obrazki mieszczące się w książeczce do nabożeństwa z odpowiednią adnotacją i młodzież przechowuje te pamiątki w swoich śpiewnikach. Oczywiście, tutaj nikt nie kupi obrazka, ale dużo ludzi kupuje medaliki, łańcuszki i różańce. Kupują także niekatolicy i noszą jako ozdobę, a nie przedmiot kultu religijnego. Naszym zadaniem jest uczyć i zapobiegać takim świętokradczym nadużyciom.

Do ostatniej wioski idę zawsze z lękiem. Jest odległa od Marolambo około 53 km, od poprzedniej wioski jest tylko 7 km łatwej drogi z wyjątkiem dwustu metrów ścieżką stromą, bardzo śliską, na gliniastym zboczu opadającym niemal prostopadle. Schodzę zawsze trzymając się kępek trawy. Malgasze także tutaj idą śmiało. Częste deszcze sprawiły, że droga stała się jeszcze bardziej śliska i dlatego poprosiłem o wskazanie mi drogi dłuższej, ale łatwiejszej. Tę dawną drogę samochodową przeszedłem przez pół godziny, więc nie straciłem więcej czasu ani sił. Tylko w jednym miejscu miałem niewielki „problem” z pokonaniem rzeczki, nad którą położony most miał 4 metry długości i 10 centymetrów szerokości, oblepiony gliną, zbyt śliski, jak na moje zdolności. Znam już sposób pokonywania i takich przeszkód. Malgasze często przepędzają bydło, które nie przejdzie po ich „mostach”, więc i ja poszedłem „drogą bydłą”, obok mostu, w wodzie po kolana. Zawsze trzeba szukać najlepszego rozwiązania. Jednakże raz musiałem przejść przez dwa długie, kilkumetrowe mosty ułożone wysoko nad wodą. W takim wypadku przerzucam na drugi brzeg kij i sandały. Boso i bez przeszkadzających przedmiotów w dłoniach łatwiej jest utrzymać się na drągach lub belkach, idąc „psim sposobem” na czworakach.

Pewnego razu przeszedłem po dwóch drągach, opartych w połowie na gałęzi drzewa, przynajmniej 5 metrów nad głęboką wodą. W innej porze roku przechodzi się przez ten strumyk w wodzie do kostek. Dopiero po przejściu na drugi brzeg zauważyłem, że trzy metry pode mną był inny most, krótszy i łatwiejszy. Byłem wtedy sam, więc nikt nie mógł mi powiedzieć, że 20 metrów w górę strumyka można było przejść w wodzie nie zamaczając kostek. Pocieszono mnie jednak, że w tym miejscu jeden z bardzo zacnych i zasłużonych misjonarzy miał świadka na to, że sobie niechcący popływał. W tej wiosce zastają zawsze ustrojoną bramę powitalną, a katecheta wygłasza przemówienie tak głośno, że chyba w sąsiednich wioskach jest też słyszany. Na drugi dzień do przejścia mam drogę trzygodzinną, ale bardzo atrakcyjną. Po godzinnym spacerze wygodną zieloną ścieżką rozpoczyna się dwugodzinny odcinek drogi, która prowadzi nad strumykiem. Potem wchodzi się na szczyt przełęczy „podpierając się nosem” i już w tym malgaskim wyrażeniu kryje się kąt nachylenia podejścia. Dalej jest jeszcze mniej śliskie zejście, kilka rzeczek (jedną przechodzi się trzykrotnie), ostre wspinanie się na niewielkie pagórki, wreszcie wyjście na drogę „samochodową”. I po trzech godzinach mogłem odpocząć. Tutaj jest niewielu katolików, ale przychodzi rodzina z sąsiedniej wioski, w której byłem dwa dni wcześniej. Tym razem zdarzyła mi się prawdziwa niespodzianka. Byłem zmęczony, rano zapomniałem wziąć codziennej porcji niwakiny. I Pani Malaria przyszła do mnie w chwili, gdy rozpoczynałem Mszę Świętą, czyniąc znak Krzyża Świętego. Wobec tego usiadłem na krześle i odprawiałem dalej, nie wstając nawet na Ewangelię czy Przeistoczenie. Komunię Świętą udzielałem też siedząc. W ten sposób odprawiałem Mszę Świętą po raz pierwszy. Po jej zakończeniu wyjaśniłem wszystkim, że nie jest to nowy ryt. Oczywiście zostałem zrozumiany i tego dnia już mnie nie zapraszano na wieczorną modlitwę i śpiewy. Ja zaś połknąłem trzy niwakiny i trzy aspiryny (czego, prawdę pisząc, nie pozwalają robić lekarze), położyłem się na łóżku nakładając na siebie jak najwięcej ubrań. Po trzech godzinach obudziłem się bardzo spocony, więc zmieniłem bieliznę na suchą i Pani Malaria oddaliła się na pewien czas. Rano pożegnałem się z bardzo współczującymi mi mieszkańcami dwóch wiosek, wziąłem kij w rękę i przeszedłem bez problemów do oczekujących mnie katolików w następnej wiosce odległej o 12 km.

Niestety, ostatnio ataki malarii miałem dość często, nawet co trzy tygodnie. Prawdopodobnie zlekceważyłem właściwą kurację po pierwszym z ataków, zaprzestając zwiększonej dawki chininy w pierwszych trzech dniach. Tym razem o tym nie zapomniałem i czuję się już dobrze... do następnego ataku. Ale nie ma się czym przejmować, gdyż wspomina się tu pewnego polskiego misjonarza, który przez cztery lata pobytu na Madagaskarze nie miał ani jednego ataku malarii. Kiedy udał się do Europy na urlop, wkrótce po przybyciu do Rzymu musiał położyć się do łóżka na całe sześć tygodni. Ja wolę odchorować, co się należy, na Madagaskarze, aby nie tracić czasu przeznaczonego na urlop. Już znam datę mego odlotu z Madagaskaru przez Paryż do Polski: w niedzielę, dnia 29 kwietnia przyszłego roku. Wybrałem miesiące wakacyjne, gdyż boję się europejskiego zimna. Mam już dziesięć polskich złotych, przysłanych mi w liście dla udokumentowania, że nie bije się już więcej polskiej monety. Tutaj już teraz, chociaż to dopiero miesiąc czerwiec, przy temperaturze +16°C śpię pod dwoma kocami, a podobno w lipcu bywa jeszcze zimniej. Prawdę pisząc, przed rokiem już to przeżyłem, ale zapomniałem, jak to było.

Oczekując urlopu w Polsce już myślę o dentyście. Zamówcie mi wizytę w połowie maja. Ułamałem kawał zęba jedząc malgaski chleb, który był nawet świeży. Z pewnością są jakieś dziurki, o których ja nie wiem, gdyż mnie samemu trudno tam zaglądać. Tylko niektórzy misjonarze potrafią pokazać Malgaszom, że są w stanie wyjąć swoje zęby. Malgaszowie przeważnie zębów nie mają, a ludzi z naszego plemienia poznaje się właśnie po braku zębów: brak wapna w glebie i w konsekwencji w pożywieniu. Poza tym trzeba będzie zrobić badania lekarskie. Straszają mnie, że będzie potrzeba przeleżeć w szpitalu nawet cały tydzień urlopu. Szkoda czasu tak straconego. Mam nadzieję, że to nie będzie konieczne.

Święto naszego Założyciela, Błogosławionego Eugeniusza de Mazenod, obchodzi się w dniu 21 maja, ale my urządziliśmy tę uroczystość w dniu 19 maja zbierając się w Ambinanindrano. Poprzedniego dnia przejechaliśmy na tę najbliższą nam misję odległą o 60 km w ciągu sześciu godzin bez przystanków. W kilku miejscach naprawialiśmy dziury, dzięki czemu łatwiejszy był

powrót: nie trzeba było kopać przed przejechaniem. Samo Święto było bardzo przyjemne. Dużo rozmawialiśmy i modliliśmy się po polsku, także po polsku odprawiliśmy Mszę Świętą, chyba po raz pierwszy od ponad roku. Wykorzystujemy okazję, gdy jesteśmy bez misjonarzy francuskich. Odprawiając z misjonarzami z konieczności francuskimi używamy języka francuskiego, ale jeśli na Mszę Świętą przyjdą także Malgasze, wtedy trzeba odprawiać po malgasku, aby i oni rozumieli.

Co więcej, Drodzy Przyjaciele Misji, powinienem Wam napisać? Film w kościele się skończył, Mojżesz przeszedł przez Morze Czerwone, o czym już wiedzą Malgasze wychodzący z kościoła. Pytali od razu, kiedy będzie następna projekcja. Sprzęt został wniesiony do misyjnego domu, współbracia weszli do swoich pokoi, co doskonale słychać. Ja też już jestem wystarczająco senny, aby położyć się do łóżka, uprzednio wyjąwszy ten list z maszyny do pisania i włożywszy do zaadresowanej już koperty oklejonej pięknymi, bajecznie kolorowymi znaczkami malgaskimi.

*Z serdecznym pozdrowieniem
w Chrystusie i Maryi Niepokalanej
O. Jan Sadowski, OMI*

PS. Z dumą wszedł do wioski położonej w sercu Afryki misjonarz uważający się za pioniera w tej części czarnego kontynentu. W rozmowie z mieszkańcami pochwalił mu się szef wioski, że w jego żyłach też płynie krew chrześcijańska. Jak się to stało? „Mój pradziadek w swojej młodości zjadł przybyłego do nas katolickiego misjonarza” - wyjaśnił zapytany.

* * * * *